Jan Grygiel

ŻOŁNIERZOWI POLEGŁEMU

17 stycznia 1945 r.

Świstem zbłąkanej kuli
zwalony na bruk
do obcej ziemi
przytulił twarz pobladłą.
Czerwone gwiazdy rakiet
spadły mu do nóg
a czoło
na dymiącą jeszcze broń opadło.

Myślałem wtedy —
Chłopcze
twych dwudziestu lat
nie żal ci było oddać
w podkarpackim mieście? —
Gdybyż choć przesłać matce
ten szkarłatny kwiat
rozkwitający w śniegu
z przestrzelonej piersi...

— Jakiż żar krył się w tej
najszlachetniejszej z róż!
Z tamtej, żołnierskiej krwi
dziś czerwień nowych ulic —
płomienie flag na wietrze
i blask wieczornych zórz,
gdy zmartwychwstałe miasto
spokojny zmierzch otuli.

(1955 r.)

Zofia Strzelecka

Chcemy przodować nie tylko w dostawach ale i w czytelnictwie

— *powiedzieli w przeworskim*

Pamiętamy dobrze wszyscy, jak przed kilku miesiącami śledziliśmy w prasie z zainteresowaniem wyniki szlachetnego współzawodnictwa w dostawie zboża dla państwa. Cieszyliśmy się osiągnięciami tych powiatów, które przodowały, martwiliśmy się tymi, które pozostawały zbyt długo w tyle.

Powiat przeworski zajął wtedy pierwsze miejsce w naszym województwie.

Zadawałam sobie wtedy pytanie: co najwydatniej przyczyniło się do zdobycia pierwszeństwa? Kiedy odwiedziłam w tym okresie przeworskie, odpowiedź znalazłam szybko. Była to wola zwycięstwa, wynikła z patriotycznej postawy, przemawiała w każdej błyskawicy, gazetce, karykaturze, które znajdowały się we wszystkich niemal możliwych miejscach. Ta postawa widoczna była w pracy aktywu wszystkich organizacji i instytucji.

W takiej atmosferze można się spodziewać pomyślnych wyników. Kiedy w dniu 22 grudnia 1954 r. wchodziłam w Przeworsku na salę obrad aktywu kulturalno-oświatowego z całego powiatu, odżyły we mnie wspomnienia gorących dni z frontu walki o chleb. Czy i teraz potrafią iść razem, czy i teraz będą widzieć wyraźnie, że to ich wspólna sprawa?

Narada miała na celu omówienie dotychczasowej pracy związanej z Ogólnopolskim Konkursem Czytelników

Wiejskich w Roku Dziesięciolecia. 42 osoby zgromadzone na sali reprezentowały gminne biblioteki publiczne, koła gromadzkie ZSCh, punkty biblioteczne i aktyw, który swoim udziałem w naradzie deklarował podjęcie wspólnej walki, tym razem walki o czytelnika.

Naradę przygotowała Powiatowa Biblioteka Publiczna wspólnie z Zarządem Powiatowym ZSCh i Referatem Bibliotek Prez. PRN.

Referaty, sprawozdania kierowników gminnych bibliotek publicznych przyniosły wiele cennego materiału. Otwarcie mówili bibliotekarze o kłopotach, z jakimi się borykali przy organizowaniu zebrań gromadzkich dla podjęcia uchwał o przystąpieniu do konkursu. Narzekali na brak wyraźnej pomocy ze strony kół ZMP. A trzeba też przyznać się do tego, że w kilku wypadkach kierownicy punktów bibliotecznych pracowali sami, nie umiejąc nawiązać kontaktu z kołem ZSCh w gromadzie.

Niemniej jednak wkład pracy aktywu był duży i dał wyniki — w powiecie przeworskim pracuje już 36 zespołów czytelniczych, podjęto już około 40 uchwał.

W Przeworsku — Wsi wykorzystano 5 spotkań z kandydatami na radnych do gromadzkich rad narodowych. W Tryńczy wykorzystano zebranie, na którym wysuwano kandydatów na radnych. W Kańczudze kierowniczka Gminnej Biblioteki Publicznej zainteresowała konkursem SP, LPŻ i ZMP, chociaż trudno było zebrać wszystkich przedstawicieli tych organizacji.

Gmina Tryńcza osiągnęła największą ilość zespołów, tj. 22 zespoły. Duża część tych zespołów, to zespoły samokształcenia rolniczego. Kierownik Gminnej Biblioteki Publicznej w Tryńczy **Zawadzki**, zamiłowany fachowiec — rolnik przekazał zebranym na naradzie swoje metody pracy, które warto szerzej spopularyzować.

Jak to się dzieje, że w Tryńczy tak licznie gromadzą się dorośli w zespołach samokształcenia rolniczego? A no, dzieje się to właśnie dzięki stosowaniu pomysłowych metod pracy. **Zawadzki** nie wchodzi do domów z oficjalną miną wykładowcy, ale przychodzi jak sąsiad, życzliwy sąsiad, który umie zjednać sobie szybko otoczenie i umie wywołać zainteresowanie tym, o czym chce mówić. A mówi zawsze o tym, co mieszkańcom Tryńczy jest bliskie w ich codziennej pracy.

Wzbudzenie zainteresowania, to nie jest rzecz łatwa. Wiemy sami, z własnego doświadczenia, jak niechętnie słuchamy czytanych referatów, a o ile łatwiej nam skupić uwagę, jeżeli ktoś opowiada i to opowiada interesująco. Tę właśnie umiejętność posiada Zawadzki. Jeżeli do tego dodamy jeszcze właściwe operowanie „konkretami" — otrzymamy obraz jego pracy (ułamkowy oczywiście).

Tak więc, chcąc wzbudzić zainteresowanie szkodnikami sadów (w przeworskim sadownictwo jest stosunkowo dobrze rozwinięte) w potocznej rozmowie z gospodarzami, nie by przez przypadek wyciąga **Zawadzki** z kieszeni jabłko, tłumacząc, że kiedy jabłko jest zepsute, nie nadaje się do spożycia, trzeba je wyrzucić. Z drugiej kieszeni wyciąga znowu jabłko, ładne rumiane jabłuszko. „To mogę zjeść" — mówi Zawadzki.

Zaczyna się w ten sposób pozornie przypadkowa rozmowa. Dlaczego jabłka gniją, dlaczego pokrywają się czarnymi plamami?

„Jak chcecie, to mogę Wam powiedzieć co robić, by jabłka były takie, jak to, które jem" — ciągnie Zawadzki. Czy chcą? Naturalnie, że chcą. Chcą, by ich sady dobrze owocowały. Będą mieli dochód większy, gdy ładne owoce odwiozą do punktu skupu.

W atmosferze zaufania i zainteresowania wyciąga Zawadzki książkę Kochmana „Ochrona sadów". Na tak przygotowanym gruncie można już pracować.

Innym razem, gdy chodziło o wzbudzenie zainteresowania roślinami przemysłowymi, znowu „przez przypadek" w poszukiwaniu chusteczki do nosa, wyciągał Zawadzki sznurek i haftowaną serwetkę i kilka jeszcze przedmiotów.

W humor wprowadził tym zebranych, ale nie pominął okazji — wykorzystał ją dla wykazania, ile to niezbędnych na codzień przedmiotów mamy dzięki temu, że uprawiamy len i konopie. Rośliny te udają się, jeżeli będziemy wiedzieli jak je uprawiać. Po wysłuchaniu bolączek związanych z uprawą lnu czy konopi, Zawadzki wyjaśnia, co przyczynić się może w warunkach Tryńczy do wzrostu uprawy tych roślin.

Zebrani słuchają do późnego wieczora. „A nie mówiliście jeszcze o pracach w okresie sprzętu lnu" — zwracają się sąsiedzi, gdy już czas na powrót do domu. Nic łatwiejszego, jak powiedzieć wtedy, że: „Przecież możemy się znowu zebrać i o tym jeszcze pomówić i poczytać".

Grunt jest już przygotowany — trzeba go teraz umiejętnie wykorzystać, by nie skończyć tylko na lnie, czy konopiach, ale dalej pracować w zespole nad książką.

A teraz kilka słów o dyskusji na naradzie. Samo słowo dyskusja często utożsamiamy sobie z zadymioną salą, znudzonymi twarzami i mówcami zza trybuny, których z konieczności cierpliwie słuchamy. Ta dyskusja była zupełnie inna. Uczestnicy narady dyskutowali chętnie. Sięgano w dyskusji do nowych form Np. aktywista Franciszek Hawro w Markowej proponował, by o konkursie i o książkach mówić w przerwach między tańcami na zabawach. Kierowniczka punktu bibliotecznego z Żurawiczek wprowadziła współzawodnictwo między dziećmi szkolnymi: „Którego ucznia rodzice przeczytają więcej książek?".

W dyskusji wyraźnie podkreślono konieczność włączenia nauczycieli do prowadzenia zespołów czytelniczych.

Głąb, który w punkcie bibliotecznym na Mokrej Strony, nie w Przeworsku ma już 192 czytelników, podjął na naradzie zobowiązanie uruchomienia jeszcze jednego punktu bibliotecznego w odległości 2 km od Mokrej Strony.

Kończąc naradę przedstawiciel Zarządu Powiatowego ZSCh powiedział: „Pokażmy, że umiemy i chcemy przodować w czytelnictwie".

List z Warszawy

Dziesiąta rocznica urodzin

Towarzysza Poprzędzkiego poznałem latem ub. roku. Zupełnie przypadkowo. Ot, po prostu jechaliśmy razem tramwajem do Młocin. On jako konduktor, ja jako pasażer. W niedzielę wieczorem tramwaj w tamtą stronę był prawie pusty. Zaczęliśmy więc rozmawiać na jeden z zawsze aktualnych tematów — rozbudowy Warszawy. Tramwaj mijał właśnie zarysy huty „Warszawa", gdy Poprzędzki sam zaczął:

— Bawiłem się tu, na Wawrzyszewie w „wojnę polsko-szwedzką".

— Kiedy? — zapytałem, żeby podtrzymać rozmowę.

— No, jakieś 40 lat temu. Miałem wtedy tyle lat co syn. Mieszkaliśmy na Marymoncie, w domu ojca. Do Wawrzyszewa jeździło się na całą dzień. A dziś Stasiek jeździ ze szkołą do młocińskiego lasku na ćwiczenia z botaniki i przed południem wraca.

— To wasz syn chodzi do szkoły?

— Naturalnie, ma już prawie 10 lat, urodził się 17 stycznia, w dniu wypędzenia hitlerowców Warszawy.

— To znaczy... wtrąciłem, ale Poprzędzki nie dał mi skończyć,

— ...to znaczy, że w styczniu, razem z wyzwoleniem Warszawy będzie obchodził swą dziesiątą rocznicę urodzin.

„RÓWIEŚNICY"

Niedawno przypomniałem sobie tę rozmowę i postanowiłem wykorzystać ją, jako temat do reportażu na dziesięciolecie wyzwolenia Warszawy. Pamiętam co prawda tylko nazwisko rozmownego tramwajarza i datę urodzenia syna. Ślad był więc bardzo nikły. Ale w biurze ewidencji ludności udało mi się znaleźć pod literą „P" kartę obywatela Stanisława Poprzędzkiego, syna Jana i Katarzyny, urodzonego 17 stycznia 1945 r. w Warszawie. Obecny adres: Franciszkańska 8, 96 blok III. Tego samego wieczora wybrałem się na Muranów i znalazłem rodzinę Poprzędzkich w nowym dwupokojowym mieszkaniu na drugim piętrze.

Kilka długich godzin spędziliśmy wspólnie na pogawędce o minionych dniach. Najprzód opowiadał ojciec, a potem gdy doszliśmy już do ostatnich czasów, wtrącał się w rozmowy i syn. Oni mówili o sobie, a ja z wielu ściśle rodzinnych wydarzeń notowałem te, które mi pasowały do tematu.

— Stasiek urodził się przed świtem. Nie wiedziałem — wspomina ojciec — co robić. Żona jęczała, żeby sprowadzić kogoś do pomocy. Wybiegłem więc z domu do sąsiadów, a tu jak nie zacznie się kanonada, aż szyby zatrzęsły się we framugach... Rano wojsko przeprawiało się przez Wisłę i oswobodziło Warszawę. Mogliśmy wracać do domu, na Marymont... Ale udał mi się syn... prawda? Jest przodownikiem nauki. Zaraz wtedy pomyślałem, że to dobrze urodzić się w tak ważnym dniu...

Młody Poprzędzki wychowywał się na Marymoncie. Początkowo znał tylko cztery ściany drewnianej klitki, dawnej sionki spalonego w czasie wojny domu. Potem poznał także drogę do sklepu dokąd zabierała go matka, aby bez „kolejki" dokonać swych skromnych jeszcze wtedy zakupów. Dopiero pewnego lipcowego dnia 1946 r. ojciec wsadził malca do wózka, matka założyła świąteczną suknię i we troje wybrali się nad Wisłę, aby przyjrzeć się pierwszej po wojnie defiladzie młodzieży na świeżo odbudowanym moście Poniatowskiego. Staś naturalnie nic z tej eskapady nie pamięta. Zatarły mu się także w pamięci wrażenia z defilady po trasie W—Z i moście Śląsko-Dąbrowskim w dniu 22 lipca 1949 r.

— Jakto, nie pamiętasz, jak niosłem cię wtedy „na barana" — pytał ojciec.

— Nie, nie pamiętam...

— A otwarcia MDM i Placu Konstytucji też nie pamiętasz? — podsunąłem.

— A to, to pamiętam. Wtedy przecież ślubowaliśmy...

Lipcowe święto 1952 roku obchodził Staś Poprzędzki już jako siedmioletni uczeń drugiej klasy i pionier. W każdej chwili może pokazać, gdzie wtedy stał ubrany w zielony mundurek i czerwoną chustkę, spiętą pod szyją. Wie nawet, że tego dnia przybyło Warszawie 2000 nowych izb mieszkalnych i, że na Placu Konstytucji odbyło się ślubowanie młodzieży na wierność Polsce Ludowej.

Od tej chwili rozmawialiśmy we trzech. Bo okazało się np., że młody Poprzędzki lepiej od ojca przypomina sobie szczegóły przeprowadzki we wrześniu 1952 roku z marymonckiej klitki do obecnego mieszkania. Zostawili na Marymoncie stare łóżko i szafę, a do nowego mieszkania wnieśli już meble zakupione na raty w CHPD. Komplet sypialny, stół, 6 krzeseł stoją dziś w pokojach, a kredens w kuchni. Radio natomiast dostał starszy Poprzędzki 17 stycznia 1953 r., jako przodownik pracy.

PRÓBNY BILANS

Nikt z Poprzędzkich nie znał dokładnie bilansu odbudowy Warszawy w ciągu ubiegłych 10 lat. Wiedzieli tylko, że generalne natarcie o nową Warszawę rozpoczęło się w 1949 roku. Dodajmy więc, że ten pierwszy, sześcioletni etap szturmu dał już miastu 230 tysięcy odbudowanych i nowopostawionych izb mieszkalnych, 1000 placówek służby zdrowia, 94 szkoły, 16 wyższych uczelni, 11 nowych kin, 4 domy kultury, 8 muzeów, 380 świetlic, 350 punktów bibliotecznych, 20 domów akademickich, sklepy, restauracje, kawiarnie, linie komunikacyjne, sieć instalacji wodociągowych, elektrycznych, gazowych i cieplnych. Że w ciągu ub. dziesięciu lat odbudowano większość zabytków stolicy: Łazienki, Starówkę, Nowe Miasto, barbakan z murami obronnymi, Zachętę — całe dzielnice i ulice.

W ROKU DZIESIĘCIOLECIA

Z okna pokoju Poprzędzkich widać w dzień złocistą, a w nocy czerwoną kulę na szczycie iglicy Pałacu Kultury i Nauki. Za kilka miesięcy otworzą się gościnne podwoje pałacu. Rozpoczną się normalne spektakle w czterech teatrach, a w części sportowej odbędą się masowe zawody pływackie. Przeniosą się do części wysokościowej lokale Polskiej Akademii Nauk, Towarzystwa Wiedzy Powszechnej oraz innych organizacji naukowych. W sierpniu na budo-

(Dokończenie na str. 3)

Rok VI Rzeszów, 16. 1. 1955 r. Nr 2 (248)

Nowiny Tygodnia

Tygodniowy dodatek „Nowin Rzeszowskich"

DZIŚ W NUMERZE:

Wiktor Iwiński — Pod gościnnym niebem
Tadeusz Stanisz—U córki Józefa Chełmońskiego
Więcej poetów dobrych i różnych
Tu przypiął, tam przyłatał

Pod ojczystym niebem

Wiktor Świński

Zaraz po śniadaniu postanowiliśmy z Tadzikiem obejrzeć miasto. Wyruszyliśmy równą, długą, cienistą aleją. Było przyjemnie — chłodno. Tadzik miał narzuconą na ramiona wiatrówkę, ja granatową marynarkę.

Jak długo szliśmy w cieniu drzew, jak długo promienie kaukaskiego słońca bezpośrednio nie dotykały nas — było przyjemnie. Ale gdy tylko skręciliśmy w otwartą uliczkę — strach pomyśleć. Poczułem tak gwałtowną zmianę temperatury, że nie wiadomo kiedy zdjąłem marynarkę. Pot spływał ciurkiem z czoła, słońce paliło skórę twarzy i rąk. Mimo gorąca długo krążyliśmy po mieście. Na każdym bodaj kroku pijalnia wód. Pięknie, w lekkim stylu utrzymane sanatoria, wiszące ogrody, altany i sklepy, sklepy.

Kisłowodsk — Skała Lermontowa

W jednym z kiosków kupiliśmy piękne, kolorowe widokówki. Na pamiątkę. Zauważyłem, że Tadzik nagle zaczyna przed każdą ławką przystawać. Zaniepokoiłem się.

— Co — osłabłeś?

— E, gdzie tam osłabłem, tylko, widzisz, te pocztówki.

— Nieładne?

— Też miałyby być nieładne! Widzisz, może by wysłać. Spojrzałem na niego mile zaskoczony.

— Wiesz, to całkiem dobra myśl. Usiedliśmy.

No tak, pisać, ale czym? Ołówkiem adres może się zamazać i co potem? Nie dojdzie.

Gdy tak siedząc dumaliśmy nad swym losem — usiadł obok nas jakiś starszy mężczyzna. Widać — uzdrowieniec, ubrany w białe spodnie i lekki kaftanik. Usłyszał, że rozmawiamy po cudzoziemsku, bo odchrząknął parę razy, potem spytał.

— Przepraszam bardzo, czy można wiedzieć z jakich stron jesteście? Mówił poprawnym językiem rosyjskim.

Odpowiedzieliśmy, że z Polski.

Na moment uniósł czarne brwi, tak wielkie jak skrzydła, po czym rysy jego twarzy, ciemnej, poznaczonej licznymi czarnymi punkcikami — rozjaśniły się, spod szerokich warg ukazały się w uśmiechu drobne, białe zęby.

— Ach, bracia, wy moi!... Mówiąc to uchwycił za ręce i jął potrząsać. Był to wielki, barczysty człowiek.

Pochodzi z Baszkirii, tam też pracuje już od 18 lat w górniczym zawodzie. Nazywa się Polakow. I jak się poprzednio domyślaliśmy — uzdrowieniec. Na leczeniu profilaktycznym.

Gdy opowiadał o swoim życiu, dzieciach, rodzinie, przypomniałem sobie i ja o swoich obowiązkach. Te kartki do rodziny, a o 11-tej zbiorowe odwiedziny Domu Dziecka.

Powiedziałem o tym i zaproponowałem, gdyby to mu odpowiadało — spotkanie wieczorem.

Zgodził się natychmiast. A co do wysyłki kartek, to tu niedaleko jest jego sanatorium, zaraz przyniesie pióro.

Ulicami przewalał się różnobarwny tłum ludzi. Przeważały białe stroje mężczyzn i kolorowe, lekkie kobiet. Czerwone i białe o szerokich rondach kapelusze. Nawet kozackie, tkane z wełny, których ronda zdobiły obramowania z baranich futerek. W tym różnojęzycznym tłumie, z dalekich gór Kazachstanu, z Syberii, Ukrainy — przeważały osoby starsze wiekiem. No cóż, sezon letni kończy się. Dziś nowy rok szkolny. Studenci, młodzież szkolna przebywająca tu na wczasach i obozach, wyjechała.

Zajęci obserwacją ludzi — nie dostrzegliśmy w pierwszej chwili powrotu towarzysza Polakowa. A on sam — jak później mówił — nie chciał nam przeszkadzać. I on lubi przecież obserwować życie. Tym bardziej dziennikarze!?

Widokówki szybko pokrywały się koślawymi literami bo to niewygodnie tak na kolanach pisać.

Podziękowaliśmy za pióro i— do zobaczenia. Udaliśmy się na poszukiwanie poczty. Dość długo trwały te poszukiwania.

Na skrzyżowaniu ulic stał milicjant. Podszedłem.

— Możecie mi powiedzieć gdzie mieści się poczta?

Milicjant zgrabnie zasalutował i spokojnie zaczął tłumaczyć. Wychodziło, że do poczty ładny kawałek drogi. Dostrzegł rozczarowanie na mojej twarzy, bo szybko spytał.

— A co chcecie załatwić — może bez poczty się obejdzie?

Wyjaśniłem, że z kolegą pragniemy nadać widokówki pocztą lotniczą.

Ożywił się.

— To można zrobić bez poczty. Wystarczy, tam (wskazał na przyległą uliczkę) w kiosku kupić znaczek, nakleić, na kartce napisać „Poczta lotnicza", wrzucić do skrzynki na listy i... jutro będzie na miejscu.

Podziękowałem. Poszliśmy we wskazanym kierunku. Długo błądziliśmy często zawracając, bo nim znaleźliśmy kiosk, upłynęła dobra chwila. Przy sposobności pogawędziliśmy ze sprzedawczynią po polsku — umiała. Odwracamy się, przed nami stoi ten sam miliciant. Kieruje bezpośrednio do sprzedawczyni pytanie.

— Po jakiemu rozmawialiście?

— Po polsku — odpowiedziała z dumą w głosie.

Dogonił nas — zasalutował.

— O tu jest skrzynka na listy, powiedział.

Rzeczywiście niewiele brakowało, a minęlibyśmy ją.

Wracaliśmy już szybszym krokiem. Mało czasu. Na skrzyżowaniu ulic, w tym samym miejscu co przedtem stał znajomy milicjant. Dostrzegł nas. Uśmiechnął się jak do starych znajomych.

Wzmagał się upał. Gdyby nie ożywcze, górskie powietrze, trudno byłoby w tak gorącym dniu poruszać się po rozpalonych cementowych płytach ulic, wśród rozgrzanych murów domów. Poza tym tłok. Szczególnie tu na prospekcie im. Stalina. Ale też nie ma się czemu dziwić. Co miesiąc leczy się w Kisłowodsku ponad piętnaście tysięcy ludzi nie licząc dziesiątek tysięcy wczasowiczów i stałych mieszkańców tego pięknego, otoczonego łańcuchem gór — miasta-ogrodu.

Kilkanaście minut po jedenastej byliśmy gośćmi najmłodszych kuracjuszów Kisłowodska — dzieci. U wejścia wita nas starsza, owalnej twarzy i siwych włosach — niewiasta. To dyrektor Domu Dziecka, kandydat nauk — dr Rajisa Samoiłowna Bujanowska. Podczas gdy wyczerpująco objaśnia nam zasady leczenia dzieci zagrożonych reumatyzmem, 110 chłopców i dziewcząt w wieku od 7 do 14 lat, cały dwumiesięczny turnus przygotowuje wielką uroczystość, otwarcie nowego roku szkolnego. Bo to dziś akurat 1 września. Zwiedzamy poszczególne pawilony. Wszędzie witają nas różnorodne, czysto ubrane grupki dzieciaków. Ale jedna, mała jasnowłosa dziewczynka z ogromną lalą na ręku — nie opuszcza nas na krok. Wszędzie nam towarzyszy. Bezustannie wpatrują się w nas jej ciekawe, wielkie niebieskie oczy.

Pytam:

— Jak się nazywasz mała?

Dziewczynka bez zająknięcia, poważnym głosikiem odpowiada.

— Ja jestem Tania, a to — pokazuje na lalę — Wala.

Tak zawarliśmy przyjaźń z jedną z najmłodszych kuracjuszek. Ale odtąd towarzyszy nam już śmielej. Wtrąca swoje trzy grosze do rozmów jakie prowadzimy z tow. Bujanowską, a często przemierza salę, niesiona przez kolegów.

Staszek, dziennikarz z zawodu, fotograf z upodobania ma również swoje zajęcie. Przy każdej sposobności dręczy Tanię. Sadza ją na parapecie okna, to znów na łóżku, stoliku, ławce, chyba z dwadzieścia zdjęć zrobił maleńkiej Tani i od niej jeszcze bardziej, bardziej mniejszej Wali.

Oglądaliśmy akurat gabinet pracy artystycznej, którego ściany poobwieszano ciekawymi malowidłami na szkle, płótnie i bristolu — dorobek dziecięcych talentów, gdy szybko wybiega gdzieś Tania. Po chwili wraca zdyszana. W rączkach trzyma maleńki, naprawdę pięknie haftowany obrusik.

— To zrobiła moja koleżanka Zoja — mówi po czym dodaje. Ona ma prawdziwy talent.

A naprawdę: dzieci tutaj posiadają wszelkie warunki rozwoju swych umiejętności, dla zaspokojenia swych pragnień i zainteresowań. Przez okres dwóch miesięcy wiele jedne od drugich się nauczą.

Na dworze już zbiórka. Mali kuracjusze ustawiają się w czworobok. Zbliżamy się. Gdy wchodzimy na plac zbiórki, rozlega się gromkie:

— Priwiet polskoj dielegacji!

— Nie wszystkie nas widziały — przedtem. Teraz za to odwracają główki w naszą stronę. A po skończonej uroczystości pobiegną prosto w nasze objęcia, na przyjacielską rozmowę. Dostaliśmy na pożegnanie nakaz: „Pozdrówcie od nas dzieci polskie, polskich pionierów i ich starszych braci komsomolców". Nie, nie zapomnimy. Przekażemy im Wasze pozdrowienie.

Do widzenia Taniu, do widzenia mała artystko, nieznana Zojo! Dowidzenia dzieci!

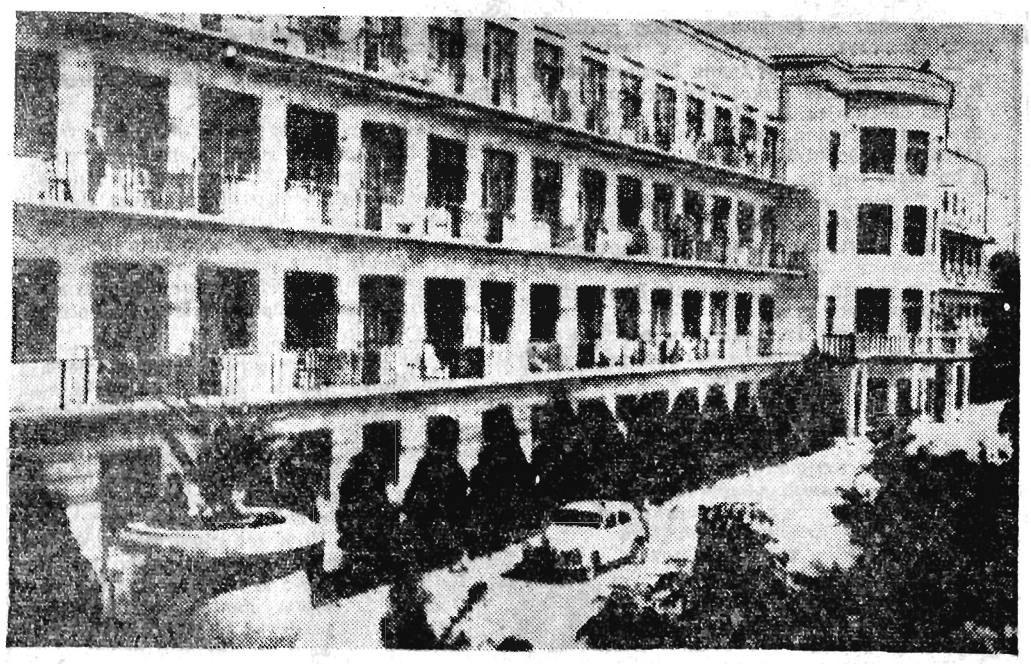

Kisłowodsk — Sanatorium Wszechzwiązkowej Rady Zw. Zaw.

O ROMANSIE Z WODEWILU

w wykonaniu zespołu „Fredreum"

Teatr „Fredreum" w Przemyślu wystawił wodewil krzemińskiego pt. „Romans z wodewilu".

Wodewil jako typ utworu dramaturgicznego przeżywa obecnie swój renesans. Odświeża się utwory starego typu, pojawiać się zaczynają nowe wodewile o tematyce współczesnej. Najsłynniejszym twórcą wodewilu był Eugeniusz Lariche, dramaturg francuski, którego twórczość przypada na drugą połowę XIX wieku. Źródłem powstania wodewilu była twórczość ludowa.

Wodewil ukazany nam przez teatr „Fredreum" w krzywym zwierciedle satyry, przedstawia Kraków z epoki czarno-żółtego lojalizmu krakowskiej burżuazji, z epoki patronatu arystokracji, której symbolem był „Pałac pod baranami" (dziś mieści się tam Dom Kultury Zw. Zawodowych). Drugie oblicze Krakowa, znajdujące odbicie w wodewilu, to światek cyganerii artystycznej spod ruchu „Zielonego balonika" poetów, malarzy i innych przedstawicieli sztuki, wyszydzających bezlitośnie filistrów krakowskich. Do głosu dochodzą w wodewilu echa pierwszych przyjmowanych przez młodzież i robotników haseł socjalizmu. Jak w barwnym kalejdoskopie przesuwają się przed oczami widza scenki z życia Krakowa sprzed lat pięćdziesięciu, zabawne typy i typki. Muzyka, piosenka i satyra, cięty dowcip bawią, liryzm starej sentymentalnej piosenki wzrusza.

Jeśli idzie o kształt sceniczny wodewilu ukazanego przez „Fredreum", to na dobro realizacji policzyć należy właściwe oddanie atmosfery środowiska kołtunerii mieszczańskiej. Mniej dobrze natomiast ukazano cyganerię, a już zupełnie błędnie zarysowano środowisko robotnicze, szczególnie jeśli idzie o młodych Gzymsików. Sprawę tę można byłoby uznać za jedno z potknięć reżysera (Żółtowski) i aktorów, gdyby nie wynikła ona z pewnej niezdrowej tendencji, przewijającej się ostatnio w pracy zespołu „Fredreum". **Tendencją tą jest bawienie widza za wszelką cenę, choćby jak to było w „Romansie z wodewilu" kosztem widocznego wypaczenia sensu utworu scenicznego. Bracia Gzymsikowie przedstawieni są tak, jakby autor stworzył ich jedynie po to, by niewybrednym gestem i mimiką rozbawiali niewybredną publiczność, a przecież są to postacie pozytywne, przedstawiciele zdrowej myśli, kontrastującej z zacofaniem kołtunerii krakowskiej. Są na swój sposób zabawni, dowcipni, ale absolutnie nie „w takim smaku" jak ci ze sceny „Fredreum".** Wracając jednak do wypowiedzi dotyczącej owej niezdrowej dążności zespołu do bawienia widza, pragnę zwrócić uwagę, że nie tędy droga do szerzenia kultury teatralnej wśród szerokich mas. **Wulgarny gest czy mimika niezbyt sensowna, byle śmieszna „bawią" widza, ale celem teatru jest danie temu nowemu widzowi rzetelnej rozrywki kulturalnej, celem jest dążenie do tego, by widz ów rozróżniał dobre ziarno od plewy i z niesmakiem odwracał się od wszystkiego, co trąci tanim niewybrednym efektem.**

M. Malec, L. Różycki, St. Kiebus w karykaturze F. Zalewskiego

W związku z rodziną Gzymsików nasuwa się jeszcze jedno pytanie pod adresem wykonawców, jakim języki mówią ci ludzie? Dobrze oddać dialekt przedmieścia krakowskiego nie jest łatwo, można więc raczej zrezygnować z wprowadzenia go. Trudno jednak zgodzić się na mieszaninę języka Wiecha, ze źle oddanym dialektem podmiejskiego Krakowa plus wschodnie — tajoj.

Ponieważ celem moich uwag na temat realizacji scenicznej „Romansu z wodewilu" było naświetlenie jednej z wadliwej strony tejże realizacji, nie będę zatrzymywać się przy pozostałych szczegółach i omawiać dokładnie poszczególnych kreacji aktorskich. Pozostałe elementy widowiska były (stwierdzić można) na nienajgorszym poziomie. Dobrze wypadła strona wokalno-muzyczna. Zbyt może uproszczono dekoracje.

Irena Pitulanka

Bez aktywizacji nie obejdzie się

Dyskusja na temat rzeszowskiej plastyki wzbudziła większe niż dotychczas zainteresowanie plastykami mieszkającymi na terenie naszego województwa. Sprawą tą zainteresował się Wydział Propagandy KW. Zarząd Oddziału Związku Polskich Artystów Plastyków w Rzeszowie przedsiębierze środki dla poprawy bytu artystów plastyków oraz podniesienia poziomu twórczości plastyków naszego województwa.

Formy pomocy będą różne i winny wpłynąć decydująco na zmianę sytuacji. I tak przewiduje się z wiosną br. urządzenie wystawy prac wszystkich plastyków zamieszkałych w województwie rzeszowskim tak zrzeszonych jak i nie zrzeszonych. Wystawa ta ma być przeglądem ilu artystów w rzeszowskim mieszka i tworzy. Połączona ona będzie z publiczną dyskusją aby umożliwić bezpośrednie zetknięcie się artystów z przedstawicielami społeczeństwa rzeszowskiego. Jednym z celów wystawy jest również poczynienie zakupu obrazów, co nie wątpliwie będzie doraźną pomocą dla biorących udział w wystawie.

Że jednak powodzenie takich imprez możliwe jest jedynie przy licznym udziale samych artystów plastyków, dlatego to ostatni we własnym dobrze zrozumianym interesie winni niezwłocznie nawiązać kontakt z zarządem oddziału ZPAP w Rzeszowie, który skupia w tej chwili wątek całej akcji w woj. rzeszowskim. Trzeba bowiem mocno podkreślić, że od aktywności samych plastyków zależy pozytywny rezultat wszystkich poczynań stowarzyszenia. Mamy w tym wypadku na myśli plastyków posiadających wykształcenie fachowe i pracujących zawodowo a także plastyków z wykształcenia a pracujących w innych zawodach bo i tacy na terenie naszego województwa mieszkają. Tych właśnie chcemy odzyskać dla twórczości plastycznej.

Szczególnie oczekujemy współpracy licznych już w naszym terenie młodych plastyków, wychowanków z lat ostatnich naszych uczelni artystycznych. Młodzież winna również zrozumieć, że jej poczynania po ukończeniu studiów winny być oparte o Związek Artystów Plastyków, który je koordynuje.

Stanisław Witowski

Tadeusz Stanisz

U córki Józefa Chełmońskiego

W roku 1954 minęło 40 lat od śmierci Józefa Chełmońskiego, jednego z najwybitniejszych polskich artystów malarzy (1849—1914). Należało się spodziewać z tej okazji szerszej popularyzacji jego wspaniałej twórczości artystycznej. Tymczasem poza opowieścią biograficzną o Chełmońskim pt. „Barwa świata", pióra Zenona Skierskiego brakło poważniejszych wydawnictw. Owszem pod koniec 1953 r. Jan Wegner ogłosił część korespondencji artysty, ale to cenne wydawnictwo zakładu im. Ossolińskich przeznaczone jest raczej dla badaczy-specjalistów.

Mamy jednak inne żywe źródło wspomnień o Józefie Chełmońskim: od 3 lat mieszka w Łańcucie rodzona córka wielkiego artysty, Zofia z Chełmońskich Austowa, otoczona opieką Ministerstwa Kultury i Sztuki.

Chełmoński był synem ubogiego dzierżawcy w ziemi łowickiej. Po ukończeniu gimnazjum kształci się w sztuce malarskiej w Warszawie u Wojciecha Gersona, którego przez całe życie cenił i uwielbiał jako swego nauczyciela. Poświęcił mu też piękne wspomnienie pośmiertne. Warunki życiowe miał Chełmoński nieraz bardzo ciężkie i to nie tylko w Warszawie, ale i później w

Autoportret Chełmońskiego

czasie pobytu w Monachium, gdzie skupiała się pokaźna kolonia polskich artystów-malarzy. Trudności materialne przeżywał początkowo nasz artysta i w Paryżu, gdzie mieszkał z przerwami kilkanaście lat. Po pewnym czasie uzyskał tam jednak poważne sukcesy artystyczne, które pozwoliły mu na poprawę bytu i to wraz z rodziną.

Maluje wtedy dużo, a obrazy jego rozchodzą się nie tylko do salonów paryskich, ale wędrują również za ocean. Maluje trójki i czwórki rozpędzonych koni, wilki i żórawie i różne tak zwane rodzajowe sceny z życia wiejskiego. Ale powstaje wtedy i obraz „Bezrobotni Paryża". Powodzenie we Francji jest duże, ale artysta traci bezpośredni kontakt z Polską, trawi go nieustannie głęboka tęsknota za Ojczyzną. Musi do niej wrócić. I wraca. Nawet nie do Warszawy, ma już dość zgiełku życia wielkomiejskiego. Osiada na wsi, która jest głównym źródłem jego dalszej twórczości. Poza wypadami do Warszawy, poza podróżami na Ukrainę i Litwę, Chełmoński mieszka stale w Kuklówce koło Grodziska Mazowieckiego, na kawałku ziemi kupionym za pożyczone pieniądze.

Schyłek XIX stulecia — to okres największego powodzenia Chełmońskiego. Wielka nagroda na wystawie w Paryżu, najwyższe wyróżnienie w Berlinie, sukcesy na wystawach w Düsseldorfie i San Francisco wpłynęły i na pozycję artysty w Polsce. Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie urządza teraz chętnie wystawy jego dzieł, choć przedtem robiło w tej sprawie trudności. Krakowskie Towarzystwo Sztuk Pięknych powołuje go na członka honorowego, Akademia Umiejętności w Krakowie dwukrotnie przyznaje mu wysoką nagrodę.

Pod koniec życia zmożony ciężką chorobą serca i zmartwieniami natury osobistej, maluje Chełmoński coraz mniej. Umiera w przededniu wielkiej wojny 6 kwietnia 1914. Pochowano go na prostym cmentarzu wiejskim w Ojrzanowie, niedaleko Kuklówki. Tych kilka faktów biograficznych nie oddaje oczywiście ani wielkości talentu, ani kierunków rozwojowych jego twórczości, w której górowało poczucie realizmu.

Posłuchajmy teraz tego co powie córka artysty. Zofia z Chełmońskich Austowa mieszka w gmachu Muzeum, dawnym pałacu Potockiego. Przyjmuje mnie serdecznie i chętnie opowiada o ojcu. Pokój pełen pamiątek rodzinnych. Na jednej ze ścian — reprodukcja obrazu „Kuropatwy na śniegu". Za ten obraz otrzymał Chełmoński najwyższe wyróżnienie na wystawie w Berlinie w 1891 roku. Wzrok mój pada na kilka niewielkich albumów, zawierających fotografie rodzinne. Dużo tu zdjęć Chełmońskiego, zwłaszcza z ostatnich lat życia, nigdzie nie reprodukowanych. Pochodzą przeważnie z Kuklówki, gdzie artysta najczęściej przebywał. Patrzy na nas nie stary jeszcze mężczyzna, o zmęczonej twarzy.

„W ostatnich latach opiekowałam się ojcem — mówi Zofia Austowa. — Był dla nas, dla swych dzieci, bardzo serdeczny i dobry, bezpośredni. Niektórzy pomawiali go, że pod koniec życia stał się dziwakiem i odludkiem. On po prostu nie lubił wielkich przyjęć i zebrań. Pojechaliśmy — bywało do znajomych. Ojciec wychodził w pole, patrzył i chłonął wszystko oczyma. Chciał to wszystko, co widział — ukazać w obrazach. Stąd takie tematy, jak „Staw w lesie", „Bociany", „Zachód na błotach", „Pastuszki przy ognisku" i inne. Ojciec malował dużo, szczególnie we Francji, tam też zostało wiele obrazów, trudno je wszystkie skatalogować. W Paryżu serdeczne więzy łączyły ojca z sędziwym już wtedy poetą, Bohdanem Zaleskim. Dużo zainteresowania i życzliwości okazywała ojcu słynna artystka dramatyczna, Helena Modrzejewska. Nie pamiętam już tych czasów, ale wiem także z opowiadań o znajomości z Władysławem Mickiewiczem, synem Adama".

„A to są pamiątki po jubileuszowym obchodzie w 1949 r. z okazji setnej rocznicy urodzin" — tu moja rozmówczyni pokazuje mi gruby plik wycinków prasowych, programów, afiszów i zdjęć wykonanych w czasie uroczystości we wsi Boczki, miejscu urodzenia artysty.

„To były naprawdę wzruszające chwile, gdy przedstawiciele rządu Polski Ludowej wraz z ludnością miejscową oddawali cześć pamięci artysty".

Kończę dość długą rozmowę, w której wspomnienia dawnych czasów łączą się ze współczesnością. Wychodzę wzruszony, pod wrażeniem, że z pamiątek rodzinnych i wyblakłych fotografii przemówiła tradycja polskiego malarstwa realistycznego. I że malarstwo Chełmońskiego będzie dalej służyć narodowi polskiemu.

Są wzorem dla innych

Tak jak w innych powiatach województwa rzeszowskiego, praca krośnieńskich zespołów świetlicowych nie stanęła wciąż jeszcze na właściwym poziomie.

Są jednak takie zespoły, które stały się chlubą ziemi krośnieńskiej. Do takich należy m. in. **zespół taneczny z Twierdzy.** Do wzorowych zespołów teatralnych zalicza się również **zespoły teatralne w Wiśniowej, Głowience, Odrzykoniu, Nadolu i Jedliczu.** Wyróżnia się dobrą pracą ze-

Tańcząca para w krośnieńskich strojach regionalnych.

Foto G. Russ

spół świetlicowy z Miejsca Piastowego „Kaletnik". Obok niego wymienić można jeszcze **zespoły z Glinika Dolnego** oraz **Korczyny.**

Popularnością cieszą się **tancerze z Krośnieńskiej Fabryki Obuwia.** Sukcesy wspomnianego zespołu są w dużej mierze zasługą jego kierownika prof. **Józefa Szmyda** —

Obok Józefa Szmyda na terenie powiatu krośnieńskiego jest wielu ludzi, którzy całym sercem oddają się pracy świetlicowej. Są między nimi **J. Szajna** kierownik zespołu chóralnego w Nadolu, **L. Sabik** kierownik zespołu orkiestralnego w Twierdzy, **L. Leśniak** przodujący nauczyciel w Wiśniowej i **J. Turek** kierownik zespołu świetlicowego przy spółdzielni „Kaletnik" w Miejscu Piastowem. Do tych, którzy wkładają wiele pracy i wysiłku w upowszechnienie kultury wśród mieszkańców wsi należą także: **J. Kosiba** — kierownik zespołu teatralnego i chóralnego w Korczynie, **J. Grudzka** — kierownik zespołu teatralnego w Głowience, kierownik świetlicy gromadzkiej w Odrzykoniu **Urbanek**

Ponadto jest wiele zespołów przy zakładach pracy jak np. dobrze pracujące **zespoły świetlicowe w krośnieńskiej „Lniance", w Hucie Szkła Gospodarczego** i inne.

Wysoki poziom artystyczny reprezentuje zespół taneczny krośnieńskiego Domu Kultury pod kierownictwem **Izabeli Syrkowej i Wiktora Łąckiego.**

Z zespołów szkolnych pełne uznanie należy się **zespołom Technikum Naftowego, Szkoły Odzieżowej i Metalowej, Technikum Tkackiego** oraz **Szkole Podstawowej w Krościenku Wyżnem** za piękny zespół instrumentalny, który już kilkakrotnie występował na deskach Domu Kultury w Krośnie. Również udany **zespół taneczny posiada Krośnieńskie Kopalnictwo Naftowe.**

Dziesiąta rocznica urodzin

(Dokończenie ze str. 1)

wanym obecnie centralnym stadionie sportowym odbędzie się Międzynarodowy Zlot Młodzieży i Międzynarodowe Igrzyska Sportowe w obecności 70 tys. widzów zajmujących wygodne miejsca siedzące na trybunach. W roku dziesięciolecia rozpoczną produkcję następne obiekty huty „Warszawa", a z drugiej turbiny na Żeraniu popłynie prąd dla Warszawy. Prócz tego stolica otrzyma w tym roku ok. 19 tys. izb mieszkalnych, 14 szkół, 160 sklepów, 70 restauracji, kawiarni i barów mlecznych. Wreszcie na płycie, pokrywającej tory linii średnicowej i wykop przyszłego dworca centralnego wyrośnie park, jeszcze jeden park w sercu miasta, a park kultury i wypoczynku na Powiślu powiększy się o dalszych kilkadziesiąt ha.

O tym wszystkim, o bilansie i projektach rozmawialiśmy wtedy u Poprzędzkich. Widziałem na twarzach tych ludzi wielkie zainteresowanie, połączone z zupełnie wytłumaczoną dumą. Bo przecież wszyscy troje również przyczyniają się do tworzenia nowego miasta. Każde na swoim odcinku.

Czas było jednak opuścić gościnne mieszkanie przy ul. Franciszkańskiej. Na koniec, już w przedpokoju zapytałem młodego Poprzędzkiego:

— Czego ci życzyć na urodziny Stasiu?

— Jemu? — odpowiedział za syna ojciec — tego, co naszej kochanej Warszawie, żeby rósł i rozwijał się w spokoju, żeby nigdy nie potrzebował przeżywać tego, co my przeżywaliśmy w czasie wojny. Żeby nikt nie poważył się zniszczyć nam dotychczasowego i przyszłego dorobku.

ANDRZEJ ŁEMPICKI

WIĘCEJ POETÓW dobrych i różnych

Wśród wierszy, które docierają do teki redakcyjnej często napotkać można utwory satyryczne. Niestety określenie satyryczne należałoby ująć w cudzysłów, gdyż w rzeczywistości prawie nic wspólnego nie mają one z satyrą. I to nie tylko dlatego, że cechuje je najczęściej prymitywizm i nieporadność formy idąca w parze z prostactwem i wulgarnością w doborze inwektyw i epitetów. Ważniejsze jest to, że brak w tych wierszach poglądu na otaczający nas świat, brak jakiejkolwiek postawy wobec życia, które przecież satyra ma uzdrawiać.

Leży przede mną na biurku kilka takich utworów na różne tematy. Dwa z nich zwalczają chuligaństwo, w innych jest mowa o śpiącej radzie narodowej, która nie chce zreperować drogi, o braku rytmiczności w pracy produkcyjnej, o złej gospodarce kadrami itd. Tematy te niewątpliwie wyrosły z doświadczeń osobistych autorów i ich obserwacji, gdyż treść wierszy tchnie autentyzmem — ale czy to wystarcza? Czy naprawdę nie ma w naszej, tak bogatej w konflikty epoce innych problemów jak chuligaństwo, biurokracja czy brak rytmiczności w produkcji... Te tematy aż do znudzenia powtarzają się w twórczości naszych satyryków, czy warto było powtórzyć je sto pierwszy raz nic nowego do nich nie wnosząc?...

Gdyby przynajmniej te wiersze ukazały źródła tych bolączek i sposób ich zlikwidowania, usprawiedliwione byłoby ich powstanie. Wiadomo, że celem satyry jest rozprawianie się z wrogiem, z wadami społecznymi, ośmieszenie zła i docieranie do jego przyczyn. Tymczasem z wiersza „Ich twarze", który nadesłał nam początkujący autor nie dowiemy się gdzie leży źródło chuligaństwa i z jakich pozycji autor zwalcza taką postawę wobec życia. Czy piętnuje chuligaństwo dlatego, że jest „grzechem" czy dlatego, że jest sprzeczne z zasadami moralności socjalistycznej. Wiersz ukazuje chuligaństwo jako zjawisko wyizolowane, samoistne, — nic więc dziwnego, że jego satyryczne ostrze trafia w próżnię. By walka była skuteczna, trzeba uderzyć w przyczyny, a nie w skutki; (oczywistym nieporozumieniem jest przypisywanie chuligańskich wpływów uczennicom biegającym po peronie dworcowym — co czyni inny autor w nadesłanym nam utworze).

W taką samą próżnię uderza wiersz „Zmartwienie planisty", który atakuje niewłaściwy styl pracy w produkcji. Bohater tego utworu wyrzeka na „głupich, biednych, fabrycznych gapiów — na głupich byków" (sic!), którzy nie interesują się diagramem pracy przez cały miesiąc i wskutek tego plan nie zostaje wykonany. Autor odpowiedzialnością za ten stan rzeczy obarcza przede wszystkim załogę fabryczną. Czy rzeczywiście tu leży źródło zła? Z wiersza wynika, że dyrektor fabryki z końcem miesiąca wzywa planistę by po rozmowie przekonać się, że plan „leży". Co robił przez cały miesiąc? Co robiła organizacja partyjna, cóż robił bohater utworu prócz „biadania i ostrzegania?" Brak określonej i zdecydowanej postawy wobec rzeczywistości u autora spowodował spłycenie problemu i niedojrzałość ideologiczną utworu.

Podobne zarzuty należałoby wysunąć w stosunku do prawie wszystkich utworów satyrycznych początkujących autorów, które znajdują się w naszej tece. W ślad za fałszywym adresem, czy brakiem adresu wierszy satyrycznych idzie brak bojowości, pasji, oburzenia lub dowcipu i komizmu. Żałosne to utwory, bo nijakie — ni to prymitywne moralizowanie, ni to narzekania i utyskiwania, z których wieje nuda, — pierwszy wróg satyry. A przecież satyra to czołówka walczącej literatury — musi być groźna dla wrogów i torować drogę naszej epoce. Nie sprosta temu zadaniu, gdy będzie chybiać celu, gdy będzie nieudolna i nudna, gdy będzie usiłowała niewybrednymi epitetami unieszkodliwić przeciwników.

Nie może w utworach satyrycznych zabraknąć pozytywnego bohatera, którym jest uzdrawiający śmiech, lub sprawiedliwy gniew.

Potrzeba nam satyry takiej, która by spełniała postulaty wysunięte pod jej adresem przez tow. Malenkowa na XIX Zjeździe KPZR. **„Potrzebni nam są Gogolowie i Szczedrinowie", którzy ogniem satyry wypalili by z życia wszystko co jest negatywne, przegnile, obumarłe, wszystko co hamuje marsz naprzód...".**

(Jotgiel)

tu przydział tam przykład

Z szuflady do szuflady...

W WSK Mielec leży 350 niezrealizowanych wniosków racjonalizatorskich.

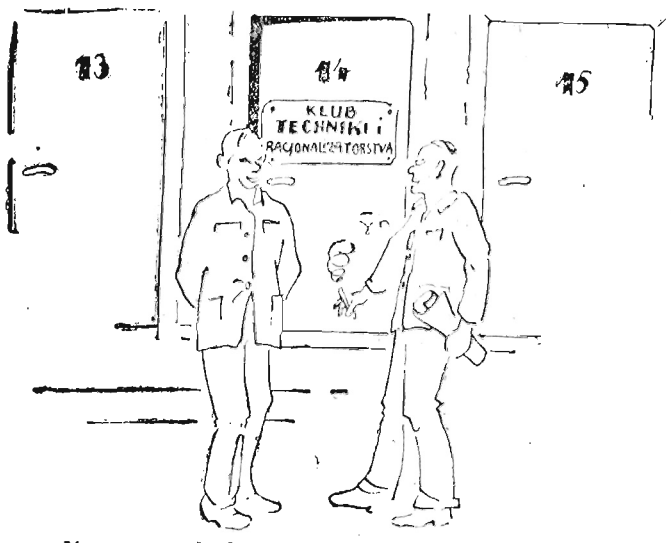

— No co, przechodzi twój wniosek racjonalizatorski?
— Przechodzi, z szuflady do szuflady.

„W blaszkach z Biadolina do wykonania planu"

W gabinecie dyrektora zakładów przemysłowych w Biadolinie panował błogi spokój, przerywany od czasu do czasu dzwonkiem jednego z czterech telefonów stojących na pięknym mahoniowym biurku.

Po chwili do gabinetu dyrektora wsunął się bezszelestnie starszy referent Piórko. Pod pachą trzymał on zieloną teczkę, na której tuszem wydrukowano napis „Produkcja uboczna".

— No co Piórko, znowu ta produkcja uboczna — zagadnął dyrektor.

— Tak jest panie dyrektorze, z Komitetu naciskają, Warszawa także dzwoniła, trzeba wreszcie uruchomić.

— Uruchomić, uruchomić, uruchomić. Bronimy się przed tym już od roku. Wprawdzie na naradzie mówiłem, że nasz zakład może produkować chochle, łopatki do węgla, młotki, grabki i inne przybory gospodarstwa domowego. Ale przecież na naradzie chodziło o autorytet naszego zakładu. Rozumiecie mnie Piórko.

— Tak jest panie dyrektorze.

— Bo pomyślcie sobie. Narada, dyskusja. Wstaje taki jeden z drugim dyrektor i mówi, że w jego zakładzie będą produkować 35 artykułów w ramach produkcji ubocznej, następny licytuje na 40, więc ja także musiałem wystąpić, rozumiecie — autorytet.

— Tak jest panie dyrektorze.

— Ale to była narada i zdaje mi się rok temu, a teraz jesteśmy u siebie w zakładach i poprzednie projekty musimy zrewidować, usprawnić, żeby było widać tę troskę o człowieka. — Ile mamy zaplanowanych artykułów do produkcji?

— Dziesięć, panie dyrektorze.

— To za dużo, stanowczo za dużo, znam możliwości mojego zakładu. Zostawimy chyba pięć.

— Tak jest panie dyrektorze.

— A może by przeprowadzić jeszcze jakąś korektę, co myślicie Piórko?

— Jeżeli pan dyrektor...

— Zostawimy dwa artykuły, będzie mniej kłopotów, a do Warszawy wyślemy telegram: „Produkcja uboczna rozpoczęta".

Starszy referent Piórko wybrał z grubej teczki plany chochelek i garnuszków w celu zaakceptowania.

— Co wy Piórko, chochelek wam się zachciewa, garnuszków, może pralki elektryczne?

— Ja panie dyrektorze nie, to żona mi mówiła, że chętnie by kupiła chochelki, ale jak pan dyrektor ma inny punkt widzenia.

— Naturalnie, że inny, teraz jest zima, trzeba produkować artykuł atrakcyjny, o na przykład blaszki do butów.

— Ale miało być przecież dwa artykuły — odparł starszy referent Piórko.

— I będzie dwa artykuły. Blaszki duże i blaszki małe. Blaszki dla młodzieży i blaszki dla starszych. „W BLASZKACH Z BIADOLINA DO WYKONANIA PLANU" zapiszcie sobie to hasło.

— Tak jest panie dyrektorze.

P. S. Powyższy felieton dedykujemy niektórym dyrektorom zakładów przemysłowych naszego województwa.

ANDRZEJ BRZEZINA

Z sokiem, czy bez?

— Niech pan będzie uprzejmy połączyć mnie z numerem 20...

— Numerem? Pan też numer! Ale to nic, ja lubię takich kumpli. Kelner, dwa razy wódka, dwa razy śledzik.

— Co to ma wszystko znaczyć? Dajcie mi naczelnika.

— Z sokiem czy bez? — zabełkotało w słuchawce a po drutach telefonicznych przepłynął zapach czystej.

— Naczelnika poproszę!

— Po co komu naczelnik, ja lepszy niż naczelnik, trąbię za dziesięciu.

Po tych słowach Antoni Dydko, pracownik urzędu pocztowego w Dynowie wykonał kilka tanecznych piruetów, po czym rymnął jak długi pod biurko...

(a. r.)

ADAM OCHOCKI

Poemat prawie pedagogiczny

(wg. „Krokodyla")

Jasia myje i ubiera,
Pieści, chwali unisono,
I z czułością nań spoziera
Tkliwych nianiek zacne grono.

Więc tatuńcio
I mamuńcia,
Ciocia Jadzia, ciocia Władzia,
Wujcio Bronek i Leonek,
Opiekuńczych pięć sąsiadek,
Tudzież babcia, no i dziadek.

Przez dzień cały Jaś „rozrabia"
Na podwórzu i w komnacie.
No, a lekcje kto odrabia?
Chętnie powiem, gdy spytacie:

Więc tatuńcio
I mamuńcia,
Ciocia Jadzia, ciocia Władzia,
Wujcio Bronek i Leonek,
Opiekuńczych pięć sąsiadek
Tudzież babcia, no i dziadek.

Chłopak wszystkich dookoła
Gorszy swoim zachowaniem.
— My go uczym, a nie szkoła!
Z dumą twierdzą wszystkie nianie:

Więc tatuńcio
I mamuńcia,
Ciocia Jadzia, ciocia Władzia,
Wujcio Bronek i Leonek,
Opiekuńczych pięć sąsiadek
Tudzież babcia, no i dziadek.

Myślę, że tu jeszcze da się
Stworzyć chłopcu dobre życie,
Ot, z przemiłym trzeba Jasiem
Wziąć w obroty należycie:

I tatuńcia
I mamuńcię,
Ciocię Jadzię, ciocię Władzię,
Wujcia Bronka i Leonka,
Potem każdą (tak!) sąsiadkę,
Tudzież babcię razem z dziadkiem!

Objazdowy teatr korespondentów

ma zaszczyt przedstawić sztukę pod tytułem

My też jesteśmy odpowiedzialni

Dekoracje bardzo skromne (łatwe do przewiezienia). Udział biorą; przewodniczący koła ZMP, członkowie koła ZMP, zetempowcy, niezorganizowani. Akt I dzieje się w pokoju przewodniczącego ZMP. Odbywa się tam właśnie przełomowe (koniecznie przełomowe) zebranie.

AKT I

PRZEWODNICZĄCY KOŁA: (czyta z kartki) Otwieram zebranie zarządu. Kolego Wiercialski, czy ja wam nie przeszkadzam.

WIERCIALSKI: (ziewając przeciągle) Nieeee.

PRZEWODNICZĄCY: Na naszym zebraniu musimy omówić kilkanaście spraw (czyta 18 punktów porządku dziennego). Zebranie koła musi być zebraniem przełomowym. Rozumiecie, II Zjazd. Precz z nudą. Z piosenką do wykonania planu. Sprawa wychowania to...

ZETEMPOWIEC NIEŚMIAŁY: Czy można w sprawie wychowania?

PRZEWODNICZĄCY: (unosi wzrok z nad kartki) Można.

ZETEMPOWIEC NIEŚMIAŁY: Proponuję poprosić na nasze zebranie przedstawicieli organizacji partyjnej i organizacji masowych.

PRZEWODNICZĄCY: Przegłosowany. Kto za? Wszyscy. Poszczególnych działaczy zaprosicie Wy (tu zwraca się do zetempowca nieśmiałego), potrafiliście postawić wniosek, to potraficie chyba załatwić tę sprawę.

AKT II

(Pokój sekretarza organizacji partyjnej)

ZETEMPOWIEC NIEŚMIAŁY: Ja towarzyszu w sprawie zebrania, to znaczy chcemy poprosić was na zebranie, wiecie przełomowe, II Zjazd.

SEKRETARZ: Naturalnie, my jesteśmy odpowiedzialni za wychowanie młodzieży, młodzież to nasza przyszłość, znajdę czas.

AKT III

(Pokój przewodniczącego Rady Zakładowej)

ZETEMPOWIEC NIEŚMIAŁY: Ja w sprawie zaproszenia. Zapraszamy was towarzyszu na nasze zebranie.

PRZEWODNICZĄCY: Naturalnie, my jesteśmy odpowiedzialni za wychowanie młodzieży, młodzież to nasza przyszłość, znajdę czas.

AKT IV

(W pokoju przewodniczącej Rady Kobiecej)

ZETEMPOWIEC NIEŚMIAŁY: Ja towarzyszko w sprawie zebrania. Zapraszamy was na nasze zebranie.

PRZEWODNICZĄCA: Naturalnie, my jesteśmy odpowiedzialne za wychowanie młodzieży, młodzież to nasza przyszłość, znajdę czas.

AKT V

(W świetlicy fabrycznej, na pierszym planie prezydium)

PRZEWODNICZĄCY KOŁA: (czyta z kartki) Otwieram przeło... te otwieram zebranie i przede wszystkim chciałem powitać sekretarza orga...

ZETEMPOWIEC NIEŚMIAŁY: (szeptem): Nie ma go. Nikt z zaproszonych nie przyszedł. Klapa.

PRZEWODNICZĄCY KOŁA: Znaczy jesteśmy w normalnym składzie. No to przystępujemy do zebrania. Porządek dzienny obejmuje 16 spraw...

(Kurtyna)

Akcja

Praca niektórych rad zakładowych nacechowana jest akcyjnością.

— Ja w sprawie wczasów.
— Przyjdźcie w lutym, teraz jest akcja młodzieżowa.

nie trudno zgadnąć

LOGOGRYF OBRAZKOWY

(3 punkty)

Należy odgadnąć znaczenie poszczególnych obrazków. Litery wyrazów wpisane w kolejności liczb od 1 do 35 dadzą rozwiązanie.

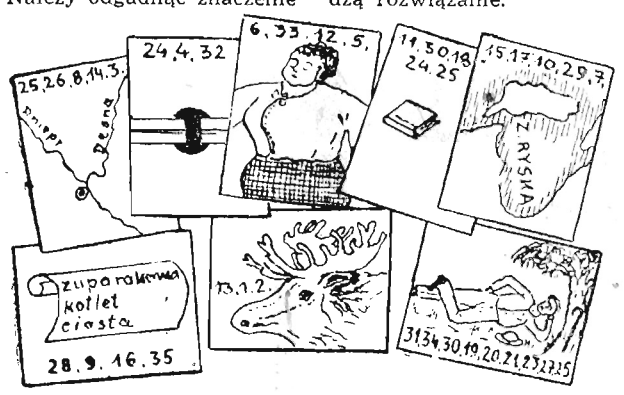

SZARADKA

(1 punkt)

Pierwszy i pół drugiego, z niebia czasem spada
Część pierwszej — druga, nazwa prastarego miasta
Pół drugiego i trzecie — imię, zaś szarada
Cała tyczy zespołu, co rodem od Piasta.

WIELE MÓWIĄCY PODPIS

(2 punkty)

W ciekawy sposób zwykła się podpisywać niejaka „E Kaszczowa". Przestawiając bowiem coraz to inaczej litery jej podpisu można się dowiedzieć w jakiej miejscowości mieszka, czym się trudni i jakiej jest narodowości. Trzeba jednak przy tym skreślić: w 1-szym wypadku jedną z liter: a, e, w, w drugim — dwie, a w 3-cim — trzy litery.

kącik szachowy

MAT W 4 POSUNIĘCIACH

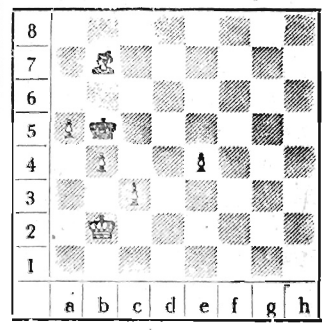

białe: Kb2, Gb7 piony a5, b4, c3 i a4 (6).
czarne: Kb5 (1).

Z. I.

jeśli zbierasz to przeczytaj

W 160 rocznicę zwycięskiej bitwy pod Racławicami oraz ogłoszenia Uniwersału Połanieckiego, polska poczta wydała 3 znaczki o wartościach 40 gr, 60 gr i 1.40 zł.

Znaczek 60-groszowy jest reprodukcją fragmentu obrazu Jana Matejki — Kościuszko po bitwie pod Racławicami (1794 r.).

J. K.